

Przeszedłem Rubikon

Wodziłem wzrokiem za długopisem lekarki wypisującej na druku moje nazwisko - Styrzula i diagnozę - „rak”. Miałem wrażenie, że oglądam jakiś film z sobą w roli głównej.

Kilka lat temu, w szpitalu przy Górczewskiej, spotkałem Marka (imię zmienione), znajomego z dawnych lat. Pracowaliśmy razem w Radiu "Solidarność". Potem nasze drogi zawodowe się rozeszły, choć te osobiste krzyżowały się wielokrotnie. Marek, w przykusej piżamie, stał przed budynkiem z papierosem w jednej dłoni, oparty drugą ręką na stojaku z kroplówką. Był blady i wychudzony, choć jak zawsze tryskał optymizmem. Trudno powiedzieć, czy udawanym czy prawdziwym. Snuliśmy plany na przyszłość, że spotkamy się u mnie w domu. Pogadamy na tarasie przy dobrym piwku. Powspominamy, poplotkujemy. Choć bardzo się starałem dodać mu otuchy, wychodziło mi to kiepsko. Instynktownie czułem, że moje słowa, by walczył, by się trzymał, brzmiały banalnie. Bo niby z czym miał walczyć? Ze swoimi lękami, które paraliżują człowieka do tego stopnia, że zastyga jak kamień i nie jest w stanie myśleć, czuć i cokolwiek robić? Z obawami o najbliższych? Z samotnością będącą udziałem każdego, kto usłyszał diagnozę - rak? Z chorobą, która cię zżera, komórka po komórce? To co wtedy mógł czuć i myśleć, zrozumiałem później, kiedy mnie samego to spotkało.

Zresztą to "wojskowe" słownictwo opisujące człowieka w chorobie, od dawna wydawało mi się dehumanizujące zarówno samego chorego jak i proces leczenia. Opisuje się go jak worek kości, mięśni i płynów ustrojowych. Według tej terminologii rak jest "wrogiem", z którym trzeba walczyć i najlepiej go pokonać. Każda terapia to "broń", a każdy etap leczenia to "bitwa". Choroba jest intruzem, obcym z zewnątrz, którego trzeba zniszczyć i wyeliminować. Tymczasem, według mnie, jest inaczej. Jest ona integralną częścią naszego życia. Jego brzydszym rewersem.

Z twarzy Marka odczytałem, że to moje gadanie do niego nie trafia. Myśłami był gdzieś bardzo daleko. Pożegnaliśmy się więc obiecując sobie, że się wkrótce zdzwonimy. Tak się jednak nie stało. Jakiś czas później, przeczytałem na FB, że Marek odszedł. Jedyne materialny ślad jaki mi po nim pozostał, to numer jego telefonu w mojej komórce, którego długi czas nie kasowałem. Wiele razy po tym spotkaniu pytałem siebie, co zrobię, jak mnie to samo co Marka spotka? Co będę czuł i myślał? Jak zareaguję na werdykt - rak?

Na ogół odpychałem takie myśli od siebie, choć chorując od wielu lat na Wirusowe Zapalenie Wątroby typu C, taki wariant powinienem brać pod uwagę. A na dodatek, na WZW C przez długie lata nie było skutecznego leku, a sama choroba rozwija się bezobjawowo. Sam dowiedziałem się o tym, przez przypadek po koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Po rutynowym badaniu przed oddaniem krwi. Dlatego tak ważne w jej wczesnym wykryciu są badania na obecność przeciwciał wirusa, RNA HCV. Dzisiaj jest ono dostępne powszechnie i niedrogi.

Pierwszą szansę na wyleczenie była terapia interferonem i rybawiryną, którą mi zaaplikowano w 2001/2002 roku w szpitalu zakaźnym w Warszawie. Sympatyczny profesor wypisując mi skierowanie na leczenie powiedział wtedy - "mam nadzieję, że będzie miał pan szczęście, bo skuteczność tego leczenia jest ok. 50-cio procentowa". Niestety, nie miałem tego szczęścia i 48 tygodni "łażenia po ścianach", jak je nazwałem, trafił szlak. A na dodatek terapia miała fatalne skutki uboczne: mdłości, napady depresji lub agresji itd.

Uczciwie muszę jednak przyznać, że podczas terapii i po niej nie żyłem zbyt higienicznie. Od czasu do czasu lubiłem bowiem napić się piwa. Zwłaszcza w długie, letnie wieczory patrząc na zachodzące nad Puszczą Kampinoską słońce. Przy tym schorzeniu zaś picie alkoholu jest niewskazane, a właściwie

całkowicie zabronione. Picie piwa wynikało z mojej życiowej filozofii, że trzeba się cieszyć każdą chwilą życia "wyciskając" z niej maksymalną radość. Powtarzałem sobie i znajomym, że "lepiej krótko świecić, jak długo kopcić". Nie chciałem być zrzędą, zastanawiającą się nad każdą nieregularnością pulsu czy odchyleniem wyników od normy markerów wątrobowych AST-u i ALT-u. Kiedy nie było znaczących zmian cieszyłem się jak dziecko, choć gdzieś, w tyle głowy, czaiła się myśl, że tak wiecznie nie będzie.

Potem, przez kilkanaście lat, szukałem alternatywnych metod leczenia WZW C. Kilka razy byłem w Indiach, szukając pomocy w szpitalach ayurwedyjskich. Ayurveda to starożytna hinduska medycyna, często krytykowana przez zachodnich lekarzy, oparta na leczeniu ziołami, wegetariańskiej diecie i zabiegach oczyszczających takich jak... lewatywa. Były też chińskie i tybetańskie leki ziołowe przypominające wyglądem owcze bobki, a smakiem zakurzone cukierki ślazowe stosowane na kaszel. Choć przypuszczałem, że mogły być nieskuteczne, sama świadomość, że coś robiłem dla poratowania zdrowia podbudowywała mnie psychicznie, co w sumie było korzystne. Z drugiej strony dawało czasami niebezpieczną iluzję całkowitego wyzdrowienia. Taka jednak już jest ludzka psychika, że szuka jakiegoś punktu oparcia, jakiejś nadziei, która nadaje życiu chorego sens i nie pozwala zwariować. Dlatego z dużą wyrozumiałością podchodzę do poszukiwań alternatywnych terapii przez osoby przewlekle bądź nieuleczalnie chore. Często chodzi w nich o to, by mieć nadzieję, która nadaje sens ich życiu. Rozumiem jednak, że lekarze mogą nie podzielać mojego punktu widzenia, wiedząc ilu ludzi nie dało się uratować, bo zbyt późno podjęli właściwą terapię szukając niekonwencjonalnych sposobów.

W 2015 roku w Polsce na WZWC zostały dopuszczone dwa leki prawie w 100% skuteczne i wpisane przez NFZ na listę leków refundowanych. Już w grudniu ubiegłego roku zapisałem się na badania kwalifikujące na terapię. Przeszedłem je w styczniu tego roku. Badanie USG nie wykazało wtedy istotnych zmian w wątrobie. Natomiast inne - fibroskanem określiło stopień zwłóknienia wątroby na poziomie F3 w czterostopniowej skali. Należało zatem szybko rozpocząć terapię nowymi lekami, by nie dopuścić do marskości. Od tego momentu zaczął się wyścig z czasem, by znaleźć szpital, w którym mógłbym je dostać. Udało się to w warszawskim szpitalu klinicznym MSWiA. Już w kwietniu przyjąłem pierwsze tabletki Exviera-Viekirax z trwającą 3 miesiące terapii. Radość była niesamowita.

Planowaliśmy już z żoną, jak uczymy dzień jej zakończenia, kiedy okaże się, że już nie mam wirusa. Z lekarką prowadzącą mnie podczas kuracji przekomarzałem się podczas badań kontrolnych, że wypiję na to konto ogromną butelkę szampana. "Może jeden kieliszek, nie więcej" - studziła mój zapał. Jest jednak takie przysłowie - "powiedz Bogu o swoich planach, to się uśmieje". I tak było w moim przypadku. Nie wiem, co prawda, czy Bóg się uśmieł, ale mnie do śmiechu nie było. Terapia zakończyła się w czerwcu. Przebiegała bez większych problemów, jeśli nie liczyć okazjonalnych nudności. Tryskałem optymizmem i energią tym bardziej, że codziennie mogłem cieszyć wzrok widokiem kwitnących w moim ogrodzie rododendronów, które od lat pielęgnowałem i chroniłem zimą przed mrozami. Każde ich wiosenne przebudzenie sprawiało mi ogromną frajdę.

Procedura tego leczenia przewiduje końcowe badania krwi m.in. na obecność wirusa i - czego na skierowaniu nie dostrzegłem - markeru AFP (alfa-fetoproteiny) oraz badanie USG jamy brzusznej. Sądziłem, że będzie to zwykła formalność utwierdzająca mnie w przekonaniu, że jestem całkowicie wyleczony, dlatego spokojnie czekałem. Pielęgniarka pobierająca krew powiedziała, że mam zadzwonić za dwa tygodnie, na początku lipca, czy wyniki już są do odbioru jednak dopiero po dostarczeniu USG, które miałem wyznaczone na 12 lipca w przychodni przy Górczewskiej.

Nie wytrzymałem tak długo i zadzwoniłem przed ustalonym terminem na oddział hepatologii szpitala MSWiA. Wyniki już były, ale przez telefon nie chcieli mi ich podać. "Dopiero jak pan przyniesie USG" - poinformowano mnie. Wtedy jeszcze niczego nie przeczuwałem i nie podejrzewałem. Mówiłem sobie, pewnie procedura zabrania informowania pacjentów telefonicznie. Jadąc na Górczewską byłem spokojny,

tym bardziej, że - jak wspomniałem - styczniowe USG ze szpitala zakaźnego w Warszawie, nie wykazywało istotnych zmian w wątrobie. Dziś sam już nie wiem, czy wówczas źle odczytano obraz USG.

Podczas badania na Górczewskiej nie zaniepokoił mnie nawet fakt, że trwało ono stosunkowo długo. Sympatyczna pani radiolog kazała mi wielokrotnie zmieniać pozycję ułożenia ciała. "A teraz proszę przewrócić się na lewy bok. Teraz na prawy" - dyrygowała mną jak dzieckiem, przesuwając oślizgłą i zimną sondę po brzuchu. Posłusznie wykonywałem jej polecenia gapiąc się w sufit. Przez otwarte okno gabinetu docierał do mnie monotony szum ulicy i śpiew ptaków. Chyba nawet się zdrzemnąłem. Po mniej więcej pół godzinie, usłyszałem - "proszę się ubrać". Wycierając brzuch z lepkiej mazi papierowym ręcznikiem wesoło zapytałem - "no i co, jest dobrze?". Radiolożka gestem ręki pokazała mi, bym nic nie mówił, zajęta wypełnianiem opisu badania. Po chwili odrzekła - "no nie jest tak dobrze, ma pan czterocentymetrowego guza na wątrobie". Widząc moje zaskoczenie próbowała mnie pocieszać, że może to być guz niezłośliwy. "Wie pan, nie możemy zakładać najgorszego" - dodała, kiedy zamykałem już drzwi gabinetu. Wtedy, przez moment, przypomniałem sobie moje ostatnie spotkanie z Markiem.

Wyszedłem na korytarz i przekazałem żonie nienajlepsze wieści. Wręczając jej kartkę z opisem badania powtórzyłem to, co mi powiedziała lekarka podkreślając, że może nie ma powodu do obaw. Może to tylko mięśniak. W drodze do domu pocieszaliśmy się tą myślą. Przecież to niemożliwe, mówiliśmy sobie, aby przez 6 miesięcy od ostatniego badania coś złego się w wątrobie zrobiło. Wyniki krwi też wtedy były w normie. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że nie były.

Po powrocie do domu, położyłem się na tarasie i patrząc na przesuwane się po niebie obłoki, zacząłem odmawiać "modlitwę Jezusa". Polega ona na skoordynowanym z oddechami rytmicznym powtarzaniu imienia Jezus. To starochrześcijańska modlitwa zapoczątkowana przez egipskich pustelników zwanymi "ojcami pustyni" w III wieku n.e. na półwyspie Synaj. Jest to modlitwa serca, a jej celem jest osiągnięcie całkowitego zjednoczenia z Bogiem. Odmawiam ją codziennie, a szczególnie w trudnych chwilach. Po mniej więcej trzydziestu powtórzeniach zacząłem odczuwać wewnętrzny spokój i pewność, że cokolwiek się wydarzy, Bóg będzie za mną. Także ufność, że skoro dopuścił chorobę w moim życiu, da mi siły, by ją znieść i mądrość, by ją właściwie wykorzystać. Nigdy się na niej nie zwiodłem.

Żona tymczasem surfowała w Internecie szukając informacji o możliwych wariantach choroby. Następnego dnia, wczesnym rankiem, pojechaliśmy samochodem na umówioną wizytę do szpitala MSWiA. Pielęgniarka od razu skierowała mnie na pierwsze piętro, do ordynatora oddziału hepatologii. W jego zastępstwie przyjęła nas inna lekarka. "Nie mam dla pana dobrych wieści" - zaczęła patrząc na wyniki badań krwi i USG. "Według nas, to pierwotny, złośliwy rak wątroby. I to dosyć duży guz, bo 4-centymetrowy. Potwierdzają to wskazania markeru AFP, który u pana wynosi ponad 500, a przewidywana norma to 9" - stwierdziła. Sugerujemy chirurgiczne usunięcie guza. Wypiszę panu skierowanie "na cito" na oddział chirurgii ogólnej i transplantologii szpitala im. Dzieciątka Jezus przy Lindleya. Ale na pocieszenie mogę panu powiedzieć, że wirusa pan już nie ma" - dodała.

Kiedy wypisywała skierowanie, miałem wrażenie, że oglądam jakiś film z sobą w roli głównej. Byłem jakby na zewnątrz tej sytuacji. Patrzyłem na swoje ręce, z trudem ukrywające drżenie. Wodziłem wzrokiem za długopisem lekarki wypisującej na druku moje nazwisko - "Styrczula" - i diagnozę - "rak". A poza tym, nie wiedziałem, jakie będzie zakończenie tego "filmu". Spojrzałem na żonę i zobaczyłem w jej oczach lęk, troskę i miłość jednocześnie. Czasami jedno spojrzenie wystarczy, by wyrazić wszystko.

Do mnie jeszcze ten werdykt nie w pełni docierał, choć z drugiej strony poczułem ulgę, bo to co najgorsze już się wydarzyło i nie było już tej cholernej niepewności zżerającej człowieka od środka. Jeszcze tego samego dnia, w szpitalu przy Lindleya, dostałem skierowanie na tomografię komputerową, która miała dać pełny obraz zmian chorobowych, i umówiłem się z lekarzami na kolejną wizytę. Miała się ona odbyć po

konsylium lekarzy trzech specjalności: chirurga, radiologa i onkologa, za mniej więcej dwa tygodnie. Wtedy mieli zaproponować sposób leczenia.

Nie ukrywam, że to oczekiwanie było dla mnie najgorsze. Nie mogłem uspokoić gonitwy myśli, które albo mnie dołowały, albo pozytywnie nastrojały. Nie pomagała modlitwa Jezusa ani ćwiczenia oddechowe. Każdego dnia od rana do wieczora huśtawka nastrojów i skrajnych emocji. Poza tym nigdy wcześniej nie czułem w takim stopniu, że jestem zbudowany z materii narażonej nie tylko na ataki z zewnątrz, ale i ze swojego wnętrza. Dotarło do mnie jak słabe i nietrwałe jest nasze ciało, o które często nie dbamy faszując je używkami i śmieciowym jedzeniem. Jak krucha jest - mimo postępu technologicznego - ludzka egzystencja. Ten czas to była wielka lekcja pokory, jak niewielki wpływ mamy na to, jak nasze życie się ułoży. Na wizytę jechałem już spokojny. Była krótka i rzeczowa. Zaczęła się od poinformowania mnie, że oprócz tego dużego guza, mam jeszcze dwa mniejsze, o średnicy centymetra. Lekarze zaproponowali wycięcie tego 4-centymetrowego z termoablacją pozostałych. Zapytali, czy się zgadzam. Odparłem, że tak. I w ten oto sposób 11 sierpnia spotkaliśmy się wszyscy w sali operacyjnej.

Jaki będzie ciąg dalszy? Tego nie wiem. Wszystkie opcje są możliwe. Przeszedłem swój Rubikon i albo wrócę z tarczą, albo na tarczy. Kiedy mnie pytają, jak to znoszę, odpowiadam, że rak jest też szansą, by na nowo ustawić hierarchię życiowych priorytetów. Dostrzec i zacząć realizować to, co dla nas ważne. Cieszyć się każdym dniem i drobnymi przyjemnościami, które on przynosi, bo już nie trzeba grać ról, które nas męczą.

Mam nadzieję, że ciąg dalszy nastąpi? Będę o tym pisać. Może w ten sposób komuś pomogę?

c.d.n.

*

Publikacja na Sofijonie za zgodą Autora. oryginał